

KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

21-27 września 2004 r.

NR 9 (18)

1. Z kart przeszłości – ciekawostki z dawnej prasy konińskiej
2. Ze wspomnień – przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień
3. Z dziejów Konina – artykuły o treściach historycznych, archiwalia
4. Tworzyli wizerunek miasta – sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta
5. Naszym zdaniem – wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta
6. Inspiracje kulturalne – poezja, proza, rysunek konińskich twórców
7. Z życia TPK – zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań
8. Barwy codzienności – podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście
9. Odpowiedzi redakcji
10. Oko w oko – konkursy ze znajomości miasta dla Czytelników
11. Inne – tematy inne niż wymienione powyżej

Mili – pewnie już spowici babim latem – Czytelnicy

Witając Państwa w tym przedziwnym polskim wrześniu, nie bardzo wiem od czego zacząć, jak ustalić hierarchię ważności. Polski wrzesień wywołuje bowiem same ważne skojarzenia dla rodaków.

Janina Weneda przywołuje tragiczne wspomnienia sprzed 65 lat – wspomnienia, których nasi kolumbowie nie potrafią nigdy zapomnieć. Zresztą, na szczęście, nie tylko oni. Dziękujemy również naszej pisarce za piękne, stosowne do okoliczności, wiersze.

Natomiast braci uczniowskiej ofiarujemy konterfekt koleżanek i kolegów, blahostka, sprzed prawie 70 lat. Ale przyznać musicie, że „tam-

ci uczniowie” wyglądają nie tylko godnie, ale i bardzo sympatycznie.

Leszek przypomina sylwetkę przemilej nauczycielki, pani Klary Michalskiej korzystając z Jej wspomnień zachowanych przez Wojciecha Michalskiego. (Jej brat pan Ryszard, ceniony regionalista i malarz, został przedstawiony w pierwszym numerze „Koninianów”).

Z okazji 130-lecia straży pożarnej Piotr Rybceżyński opowiada jak to ze strażą ogniową w Koninie bywało.

Wreszcie artykuły nieco lejszego autoramentu. Włodek Kowalczykiewicz daje próbkę języka, jakim posługiwali się onegdaj koninianie. Dzisiaj

na Starówce można jeszcze usłyszeć owe słowa. Ciekawe! Natomiast Janek Sznajder, korzystając również z niekonwencjonalnych wyrażen, przedstawia sylwetkę Feliksa Makowskiego, słynnego „Dziadka” z Powiatowego Domu Kultury. To była bardzo silna osobowość. Również przypominamy poetom, że ich czas „zbliża się nieodwołalnie”! Mirka odkrywa ulicę Portową, podajcie nam gdzie ona się znajduje?

PS Dziękujemy serdecznie za przesyłane fotografie, listy, pozdrowienia – sami również pozdrawiamy jak najserdeczniej.

Stanisław Sroczyński

Janina Weneda

WOJNA 1939 R.

grzmiało niebo tysiącem bombowców spadły gromy na miasta i wioski strach przeniknął umęczony kraj śmierć zbierała krwawe żniwo —

pluły gęstym ostrzałem armaty pod murami padali rozstrzelani zamknięte szkoły, kościoły, muzea patrzyły bezsilnie na barbarzyństwo

— obozy koncentracyjne otworzyły bramy i wesały miliony istnień ludzkich skazanych na śmierć głodową na pracę nieludzką na żer do pieców krematoryjnych —
zniewolenie człowieka i poniżanie go uprawiał Herrenvolk morderców i katów w imię chorej wyobraźni nieudolnego malarza — „Ludzie ludziom zgotowali ten los”.

Czar starych fotografii

Fotografię dedykujemy wszystkim beanom, którzy 1 września odmeldowali się w swoich szkołach. Życzymy, abyście we właściwym czasie, tak jak oni, szczęśliwie dobili do swoich portów przeznaczenia.

Fotografia pochodzi z prywatnych zbiorów pani Marii Ludomiry Klupińskiej, z d. Orłowskiej.

PS na ostatniej stronie przedstawiamy podpisy nauczycieli i uczniów złożone na zdjęciu. Pomoże to w lepszej identyfikacji postaci. Może ktoś się ujawni, a może jakieś spotkanie? Czekamy na propozycje. (Szkoła, to aktualna „I” przy ulicy Kolskiej.)

St.S.



Ze wspomnień Janiny Wenedy

...A lato było piękne tego roku

Nie, nie wierzyłam, że wojna wybuchnie. Bo dlaczego? „Korytarz”? Przez polskie ziemie niepodległe? Jakim prawem? Przecież my niczego złego nie uczyniliśmy! Niektórzy mówili: – Wątpisz? A aneksja Austrii, zagarnięcie obszaru Sudetów, Klajpedy, Czech i Moraw? Tak, ale... – mówiłam – ale prawie bez wystrzału! Niemcy wiedzą, że my nie pozwolimy się zniewolić! Nie wygrają z nami. Gen. Leon Berbeci powiedział wyraźnie – „Jesteśmy silni, zwarci i gotowi!” A on wie, co mówi! Generał! Więc wojny niemiecko-polskiej nie będzie! Samo słowo w o j n a mnie przerażało i nie śmiałam je wymawiać, bo choć brzmiało łagodnie, to zawierało w sobie straszliwie treści.

Ale coraz częściej pojawiały się w rozmowach, jak miały dni sierpniowe. I pełno było w nich nerwowości i niepokojów. Zebrania naszego zastępu harcerekczyły się wokół tematyki patriotycznej. Siedzieliśmy w koło na podłodze harcówki, a druha Janina Sz. zapewniała, „że nie oddamy „korytarza”, ani piędy ziemi, ani guzika od szaty”. Będziemy bronić kraju do ostatniej kropli krwi! Złożymy swe życie na ołtarzu Ojczyzny, jak zdaje się potrzeba. Wojna nie będzie trwała dłużej jak trzy, cztery tygodnie. Francja i Anglia przyjdą nam z pomocą! Znaczenie pocieszenia tymi zapewnieniami, radośnie przystępowałyśmy do śpiewania pieśni, które rozgrzewały serca: „Jedzie, jedzie na kasztance...”, „Wojenku, wojenku, coż się ty za pani...”, „Choć burza huczy wkłó nas...”, „Rozkwitają paki białych róż...” i in-

nym równie pięknych.

Ogarnięci byliśmy świętym zapałem i zaraz gotowi stanąć w obronie Kraju. „Jak pięknie i szlachetnie jest umierać za Ojczyznę” – mówili już starożytni Rzymianie. A więc czuj duch i bądź gotów! Ale wkrótce poczułam się srożej zawiadziona, bo gdy spadły pierwsze bomby we wrześniu, kazano nam pójść do domu. Tylko starsze drużyny i starsi druhowie pełnili dyżury w miejscach zagrożonych.

Wojska niemieckie szybko zagarniały coraz większe połacie naszego kraju. Ludzi ogarnęła panika. Na zebraniu rodzinnym i towarzyskim ustalono, że trzeba uciekać. Najlepiej na wieś do rodziny za Kolem, gdzieś, daleko od skupisk ludzkich. Mama uszyła nam torby z pasami, które można było zarzucić na ramiona, więc zapakowaliśmy co najważniejsze i wczesnym świtem wyruszyliśmy w cztery rodziny. Tylko mój ojciec został, by pilnować mieszkań przed rabusiami i zorientować się w zamiarach okupanta. Mój ojciec był człowiekiem łagodnym, przyjaznym ludziom, wydawało się, że miękkiem i ulegającym wpływowi. Ale nie! W potrzebie potrafił być nad wyraz odważny, nieugięty i ofiarny. Przekonałam się o tym w trudnych latach okupacji, gdy chronił nas z narażeniem własnego życia. Został w Koninie, by trwać na placówce mimo zagrożenia.

A my maszerowaliśmy polną drogą w słoneczny dzień wrześniowy z plecakami na ramionach. Tylko wujek taszczył walizkę i było mu bardzo niewygodnie. Zarzucał na plecy, stawił

na ramię, ale tylko na krótko było lepiej.

Drogą spieszyli także inni uciekinierzy na wozach, rowerach, pieszo lub pchając różnego rodzaju wózki. Dzika ewakuacja bez porządku i planu. Wszyscy zdążyli na wschód, byle dalej od nadchodzących wojsk hitlerowskich.

Nieraz usłyszeliśmy dalekie odgłosy spadających bomb. Nalot! Warkot maszyn zbliżał się. Ruszyliśmy w pole i padaliśmy na ziemię. Ukryliśmy głowy w ramiona. Czekaliśmy na śmierć z nieba. Ale bomby nie padały, ani nie nastąpił ostrzał uciekinierów.

– Spójrzcie w górę! – zawołał wujek.

– Odwróciłam głowę. Na dalekim, bezchmurnym niebie szybowały, podobne do ptaków, lotne myśliwce, wykonujące skręty, luki, nurkowanie, nadlatywanie od ogona, okrążanie wokół większej maszyny.

– To Heinkel, niosący prawie dwa tysiące kilogramów bomb, a osłaniają go dwa Messerschmitty. Atakują dwa polskie myśliwce PZL P. 11a! Wątpię, by wygrały tę bitwę. Technika, ot co!

Walka na niebie była pasjonująca. Smugi wystrzałów wiązały poszczególne samoloty w jedną świetlistą, ale śmiercionośną pajęczynę. Wydawało się, że jest to niewinna gra zręcznościowa, ale tak nie było. Nieraz jeden z myśliwców zaczął dymić i spadać bezładnie na ziemię. Obserwowaliśmy go i nie zauważyliśmy, kiedy inne maszyny odleciały. Niebo było znów czyste i tylko dymy z płonącego samolotu czerniły horyzont. Nie wiedzieliśmy, jaka maszyna została strącona, ale po-



cieszczyliśmy się, że niemiecka, bo przecież Polacy są wspaniałymi lotnikami.

– Coż z tego! – powiedział smutnie wujek. – Kiedy Niemcy posiadają przynajmniej siłę w sprzęcie o wysokiej technice.

– My też! – wyszeptałam przez zaciśnięte gardło. Przecież głoszone, że gdy Niemcy zaatakują, to tysiące maszyn wystartuje w obronie polskiego nieba. Stalowe orły zgniotą Luftwaffe na miarzę... nie przepuszczą wroga w głąb kraju... pogonią z powrotem do Berlina....

– Chodźmy! Pośpieszmy się! – powiedział pan Sz., przyjaciel naszej rodziny. – Nadleć inne samoloty i sprawią nam łajnie!

Podnieśliśmy się. Bez dalszych przeszkód dotarliśmy do naszych krewnych, mieszkających na zapadłej wsi, daleko od szosy i od torów kolejowych. Przyjęli nas serdecznie.

– Odgrzoni od świata, cieszyliśmy

się słonecznym wrześniem, dojrzałyśmy jabłkami spadającymi z drzew, zabawami na pastwisku przy stawie, gdzie wśród olszyn i sosen odkrywaliśmy czarodziejski świat dziwny i tajemniczej przyrody... Największą radość sprawiło nam nocowanie w stodole na szleszczącej słomie. Przez szpary między deskami zaglądał do nas srebrny księżyc i była gotowa przysiąc, że mrugał porozumiewawczo do mnie.

Wtedy nie wiedziałam, że przeżyjemy piękną, radosną, o s t a t n i ą jesień i już za progmem dziesięciu dni czeka nas okrutna noc okupacyjna.

Wtedy nie wiedziałam, że człowiek człowiekowi katem, a naszą ziemię pokryją miliony goi.

Wtedy nie wiedziałam, że nie wystarczy łez i oczy pozostaną puste rozpacz na wszystkie przyszłe lata ... na wieczność.

(Tytuł wzięty z wiersza K.I. Galczyńskiego: „Pieśń o żołnierzach z Westerplatte”.)

Tworzyli wizerunek miasta

Klara Michalska: wierna morzysławskiej szkole

Przepracowałam w szkolnictwie 50 lat, od 1915 do 1965 roku, w Morzysławiu od roku szkolnego 1918/19 do czasu przejścia na emeryturę. Ciężka i trudna była praca w tej szkole. Była ona początkowo jednoklasówką, potem zaczęła się rozwijać. Trzeba było wynajmować na wsi izby i uczyć w okropnych nieraz warunkach. Bywało, że dzieci mdlały na lekcjach. Nauczyciele wyższego wzrostu w ferworze nauczania uderzali rękami w belki sufitu. Zdarzyło się, że podczas lekcji zapaliły się sadze w staroświeckim kominie i kierowniczką, czyli ja po ugaszeniu pożaru wyszłam z tego komina czarna, więcej podobna do diabła niż do człowieka. Innym razem przewrócił się żelazny piecyk z rozpalonym węglem. Takich wynajętych klas było kilka. Rozrzucone były po całej wsi, a nauczyciele biegali, by zdążyć na lekcje.

Zaczęliśmy myśleć o budowie nowej szkoły. Otrzymałyśmy pięknie położony plac, a ludność opodatkowała się po 4 zł od morgi i jesienią 1929 roku położono kamień węgielny i zbudowano tylko fundamenty, bo nadszedł kryzys. Zboże staniało o 50% i składki przestały wpływać. Gospodarze z wszystkich wsi należących do rejonu

szkolnego dawali podwoły i zwolili piasek, cegłę. A ci co nie mieli koni pracowali ręcznie, lasowali wapno, wodę wozili beczkami z rzeki... Wymurowane fundamenty stały tak 8 lat. W międzyczasie w 1931 roku spaliła się nasza starszka szkoła. Dzięki energicznej akcji miejscowej straży pożarnej spaliły się dachy na budynku mieszkalnym i na zabudowaniach gospodarczych. Szybko odbudowano ją, bo dzieci uczyły się na dworze. Została otynkowana i dach pokryto dachówką. Odmalowała i wyładniała starszka szkoła.

Pamiętam zabawny epizod z tego pożaru. Pali się słomiany dach, ludzie wynoszą ławki, a tu zajężdża nasza straż. Naczelnik jej staje przede mną, jej załocycielką i sekretarką straży na baczność i melduje przybycie oraz prosi o rozkazy, co mają ratować najpierw. Pomimo tragiczmu chwili śmiać mi się chciało i rzekłam: – A ratuj pan co chcesz, byle prędko i dobrze.

W 1937 roku dostaliśmy trochę gotówki z Towarzystwa Budowy Szkół, część dała gmina, reszta ze składek i stanęły mury budynku, a w 1938 zaczęliśmy naukę w 4 nowych klasach. W starej szkole zostały 2 małe klasy. Nowa szkoła rok później zajęta została przez

Niemców. Uruchomiono w niej na trzy miesiące coś w rodzaju szkoły o 4 nauczycielach, a mnie zwolniono z pracy, a potem wysiedlono do Generalnej Guberni. Budynek Niemcy wykorzystywali na biura kopalni węgla brunatnego.



Kiedy po pięciu latach wróciłam z wysiedlenia trzeba było wszystko zaczynać od nowa. Wyrzucać zbędne przedmioty i powstawiać drzwi. 24 kwietnia 1945 roku zaczęła się nauka. Przez pierwsze dni, gdy nie było

ławek, dzieci uczyły się siedząc na podłodze, pisały na stolkach i ławach poprzynoszonych przez rodziców z domów. Za zeszyty służyły czyste kartki niemieckich druków. Klasa pierwsza miała drukowane w Poznaniu elementarze w zeszytach tygodniowych, starsze klasy podręczników nie miały. Musiały służyć im pojedyncze egzemplarze przedwojenne, słowo nauczyciela, kreda i tablicca. Ale dzieci uczyły się bardzo pilnie. Rozumiały, że muszą odrobić minione pięć lat wojny. Z początku były dwie klasy, dla takich co nie nie umiały i co trochę czytały i pisały. Po paru miesiącach można było ich podzielić na klasy, a potem ciągi przyspieszone i w 1946 roku były już klasy piąte i szóste, a w 1947 wydano pierwsze świadectwa ukończenia szkoły.

Wróć do dawnych wspomnień. Gdy w 1918 roku organizowałam szkołę w Morzysławiu, miała tylko ławki, starą szafę i stół. Przez 21 lat zgromadziłam trochę pomocy naukowych, książek do biblioteki, umeblowałam klasy, ale przyszła wojna i wszystko przepadło. Najgorsze minęło. Dzieci przybywało, znów przyszła praca nad rozbudową szkoły, środki dało państwo, pomagali górnicy. W miarę przy-

bywania nowych sal, przenosiły się klasy mieszczące się w starej szkole. W 1951 roku szkoła została oddana do użytku, a ponieważ okazała się za duża, w dwa lata później wprowadzono do niej Liceum Pedagogiczne. Nasza szkoła podstawowa stała się szkołą ćwiczeń i tak było do 1967 roku do czasu likwidacji Liceum Pedagogicznego. Wtedy też zlikwidowano moją szkołę, a dzieci z Morzysławia zaczęły uczęszczać do szkoły w Koninie.

Klara Michalska ur.13 sierpnia 1897 r. w Słupcy w rodzinie chłopskiej. Naukę pobierała w żeńskiej szkole miejskiej w Słupcy, a potem corocznie zdawała egzaminy eksternistycznie w gimnazjum w Kaliszu. W 1914 r. otrzymała świadectwo ukończenia rocznego kursu nauczycielskiego w Łęczycy. Przez kolejne trzy lata (1915-18) uczyła w szkole żeńskiej w Słupcy, a od 1 września 1918 podjęła pracę nauczycielki, zarzem kierowniczką szkoły w Morzysławiu, gdzie pracowała 47 lat, aż do przejścia na emeryturę w 1965 r. W tym czasie podnosiła kwalifikacje zawodowe na licznych kursach nauczycielskich w Koninie (1917 i 1918), w Kielcach (1922), w Nowym Sączu (1930), w Ustroniu Cieszyńskim (1947), w Lublinie (1949-50), w Giżycku (1950). W okresie międzywojennym pracowała społecznie w Kółku Rolniczym, Organizacji Młodzieży Wiejskiej, w Straży Pożarnej, której była współorganizatorką, od 1937 r. w Kole Gospodyń Wiejskich i w tej organizacji pełniła funkcję przewodniczącej organu powiatowego. Po wojnie udzielała się w Stronnictwie Demokratycznym. Zmarła 16.02.1980 r.

opr. Lech Hejman

Ze wspomnień

Z dziejów Konińskiej Straży Ogniowej

Groźba pożaru od zarania miasta towarzyszyła mieszkańcom Konina. Obok „morowego powietrza” i „wody”, czyli epidemii oraz powodzi, „groźba ognia” budziła lęk i przerażenie. Niebezpieczeństwo zwiększało się w okresach licznych wojen, ale nawet w szczęśliwych czasach rozwoju miasta wystarczyła chwila, aby jego mieszkańcy stali się niedziszczami.

W stłoczonej, ciasnej i w dużej mierze drewnianej zabudowie dawnego Konina nawet niewielki pożar groził błyskawicznym rozprzestrzenieniem się w całym mieście. Starano się zatem przede wszystkim do minimum ograniczyć niebezpieczeństwo wybuchu pożaru. Temu miały służyć m.in. rygorystyczne zasady posługiwania się ogniem, nocne strażnie i lokowanie warsztatów rzemieślniczych obsługujących się w toku produkcji ogniem poza zwartą zabudowę miejską. Na przełomie XVIII i XIX wieku wprowadzono obowiązkowe ubezpieczenia

od ognia, które miały łagodzić skutki ewentualnych nieszczęść.

W latach Królestwa Kongresowego pojawiły się przepisy tzw. policji budowlanej, tworzącej zgręby współczesnego prawa budowlanego. Wprowadzali one m.in. zasadę wznoszenia w centrum miast budynków murowanych, zakazywały pokrywania dachów strzechami oraz budowy w obrębie zwartej zabudowy stodół. Wówczas także wprowadzono jednolite przepisy nakładające na miasto i jego mieszkańców obowiązek posiadania określonego sprzętu przeciwpożarowego. Zgodnie z postanowieniem namiestnika Królestwa z 1818 r. miasta liczące ponad 100 domów mieszkalnych – oprócz sprzętów stanowiących własność właścicieli nieruchomości (drabiny i węborka) oraz zakupionych na ich koszt (na każde 10 domów miały być 4 sikawki ręczne, węborkowe oraz stągwie do wody) – miały posiadać sikawki węzowe lub węborkowe

oraz stągwie do wody w ilości zależnej od wielkości miasta.

Sprzęt ogniowy należący do miasta początkowo przechowywano w specjalnej wozowni mieszczącej się przy ratuszu oraz w drewnianych szopach. W latach po powstaniu styczniowym na blicharzach przy ówczesnej ulicy Nowej (obecnie ul. Staszica) wybudowano specjalną murowaną szopę na – jak je wówczas nazywano – narzędzia ogniowe. Stan i ilość sprzętu były regularnie kontrolowane i w tym celu urządzano coś na kształt próbnych alarmów pożarowych w mieście.

Obowiązek gaszenia pożaru spoczywał praktycznie na wszystkich mieszkańcach i to stanowiło słabe ogniwo całego systemu. Metoda pospolitego ruszenia zupełnie się nie sprawdziła. Brak wykształcenia, dyscypliny oraz organizacji powodował, że często pomimo ofiarności mieszkańców efekty prowadzonych działań były

mizerne. Z czasem stało się jasne, że niezbędna jest mniej liczna, ale za to zorganizowana i wyszkolona grupa osób. W dużych miastach zaczęto więc tworzyć stałe strażnie zawodowe, w mniejszych – których nie było stać na takie rozwiązanie – organizowano strażnie składające z obywateli-ochotników.

Konińska Ochotnicza Straż Ogniowa powstała ostatecznie w 1874 r. Magistrat przekazał pod jej pieczę posiadany przez miasto sprzęt pożarowy wraz z budynkiem, w którym był składowany. Tenże został kilka lat później rozbudowany, tak że było w nim miejsce na zebrania strażaków. Organizowano w nim również bale i przedstawienia, z których dochód przeznaczony był na zakup indywidualnego wyposażenia strażaków: mundurow, hełmów, pasów itp. Koszty zakupu i remontu sikawek, węży, beczkownic itp., nadal pokrywała kasa miejska. W 1878 roku konińska straż miała do dyspozycji m.in. 5 sikawek, 12 beczek dwukolowych do przewożenia wody, cztery drabiny szteigerskie z hakami, 151 hełmów skóranych, 150 bluz płóciennych, 30 pasów szteigerskich i 30 toporków szteigerskich. Około 1880 r. w szeregach konińskiej straży pozostawało 120 czynnych członków.

Od początku straż ogniowa (dopiero od 1926 r. oficjalnie nazywana strażą pożarną) odgrywała pierwszo-

planową i wyjątkową rolę w życiu kulturalnym i społecznym miasta. W szeregach straży spotykali się bowiem mieszkańcy różnych stanów społecznych, narodowości i wyznania. Zadna inna z organizacji działających w Koninie w latach zaborów i w okresie dwudziestolecia międzywojennego nie miała tak uniwersalnego i powszechnego charakteru.

Przed wszystkim jednak strażacy stawali do walki z groźnymi żywiołami. Gasili pożary w mieście i okolicy, ratowali ludzi i ich dobytek także w trakcie powodzi. Często były to wydarzenia dramatyczne, a obecnie zupełnie zapomniane. Tak jak katastrofalny pożar, który wybuchł w Koninie w lipcu 1912 r. w rejonie Rynku Garncarskiego (obecnie plac Zamkowy). Jak później ustalono, prawdopodobnie od pozostawionej świecy, zapaliła się stajnia, a następnie kolejne budynki. W ciasnej, stłoczonej zabudowie opanowanie i ugaszenie pożaru było niemiernie trudne. Głównym problemem był brak wody, którą trzeba było dowozić i donosić z rzeki. Kiedy zakończono walkę z żywiołem stracy okazały się poważne. Spłonęło 17 budynków mieszkalnych i 52 różnej wielkości budynki gospodarcze. Wysokość strat oszacowano na 31970 rubli. W tym czasie cały roczny budżet miasta Konina wyniósł niespełna 20 tys. rubli.

Piotr Rybczyński

Przy ulicy 3 Maja, naprzeciwko małego, murowanego kiosku, błędnie nazywanego dawną rogateką miejską, znajduje się budynek, którego przeznaczenie podlegało nader zmiennym kolejom losu. Wybudowany przed wojną na siedzibę POW, w czasie okupacji pełnił funkcje restauracji „nur für Deutsche”. Po wojnie został zajęty przez organizację młodzieżową, Związek Walki Młodych, przemianowany później na Związek Młodzieży Polskiej. Po likwidacji ZMP, budynek stał się siedzibą trzech związków: Związku Młodzieży Socjalistycznej, Związku Młodzieży Wiejskiej i Związku Harcerstwa Polskiego. Ponadto pod swój dach młodzież przyjęła biuro Polskiego Czerwonego Krzyża i Biuro Wydziału Kultury Powiatowej Rady Narodowej. Potem lokatorem stał się Powiatowy Komitet Kultury Fizycznej. W 1959 roku powołano, pierwszy w historii miasta, Powiatowy Dom Kultury, wciśnięty również do przepełnionego użytkownikami budynku. Na domiar wszystkiego zaczął się remont kina, zatem bezdomne kino „Górnik” także egzystowało w tym obiekcie. Z biegiem lat poszczególne organizacje zaczęły się wyprowadzać do nowego Konina. Wreszcie budynek otrzymała Szkoła Muzyczna i z po-

Dziadek

wodzeniem wykorzystuje go do dnia dzisiejszego.

Zmienił się użytkownicy, ale jedynym niezmiennym elementem, jak- bym duszą budynku, był woźny, Feliks Makowski, który od powojny trwał na swym stanowisku. Tu było jego królestwo. Razem z murami, pomieszczeniami i sprzętem, ba, razem z wszystkimi użytkownikami. Czuł się współwłaścicielem tego wszystkiego. Nic nie mogło się wydarzyć bez jego wiedzy, a często i interwencji. Mówiło się do niego per „dziadek”. Młodym naówczas ludziom woźny wydawał się starszakiem, choć miał wtedy zaledwie pięćdziesiąt kilka lat.

Nie miejsce tutaj na przedstawienie życia i życia dziadka. Myślimy zapamiętali go z nieprzeliczonej ilości anegdotów, charakterystycznych dla jego sposobu bycia. Przypięte niektóre z nich. Już za kadencji wydziału kultury robiono spis inwentarza. Nagle kłopot – wszystko jest, brakuje tylko 40 krzesel. Dziadek cały czas milczący obserwuje miotających się inwentaryzatorów, wreszcie mówi, że tych krzesel

wydział nigdy nie miał, bo jeszcze za czasów ZMP zostały po imprezie na wsi, pewnie w Rzgowie.

Gdy funkcjonował Dom Kultury przyjeżdżały do Konina objazdowe teatry z Gniezna, Kalisza, Łodzi. Najpierw załatwiano salę i terminy. Przyjeżdżał organizator i często trafiał na dziadka Makowskiego. – A w jaki sprawie – dziadek mówił gwarą – sala zain- ta, byli już łatwiej na zebranie. Na sali odbywały się zebrania wielu konińskich związków, i instytucji. Z inicjatywy dziadka kultura musiała ustąpić przed niezbyt pewnym zebraniem.

Tu muszę wtrącić istotną uwagę do publikacji Zygmunta Kowalczykiewicza „Konińskie świętowania”. Autor opisuje, zresztą na podstawie mojego przekazu, słynną scenę ustawiania stołów w sali. Miało się odbyć zebranie Ligi Kobiet, której przewodniczącą była pani Zimna. Przewodnicząca próbowała ustawić stoły w sposób nietuzinkowy, co się nie udało. Dziadek cierpliwie obserwował zmagania i nie wytrzymał. Podszedł do niej, poklepał po ramieniu i z flegmą wyraził

swoją opinię: – Tu był taki jedyn, tyż chcioł inaczej ustawić stoły i wi Zimna co? usroł się, a nie ustawił. Kowalczykiewicz zmienił słowo na „skichnął”. Niech mu dziadek zda grobu wybaczy. Uperam się aby owe drażniące co delikatniejsze uszy wyraził przyczołczy w dosłownym brzmieniu. Taki był dziadek, bez dosadności języka byłby po prostu nieprawdziwy.

Mój stryj, także Jan, na co dzień nie przywiązywał większego znaczenia do ubioru. Kiedyś przyszedł do Domu Kultury ekstra wystrojony. Miano mu wręczyć jakieś odznaczenie. Dziadek popatrzył, pocmokał i z podziwem skomentował: – Ale się pan Sznajder odpi...ii!

Kiedy w budynku rozlokowało się kino, to dziadek był pierwszym widzkiem i pierwszym krytykiem filmowym. Taki życiowy film – mówił, albo gównu wart. I ludzie, polegający na jego opinii szli, albo nie szli do kina. Od dziadka zależała frekwencja. Strych budynku często był wykorzystywany na dekoratornie. Nagle kiedyś na strychu zawisło pranie. Dziadek, zdejmuje to swoje pranie bo ci się zakurzy. Na to dziadek: – Jeszcze za ZMP kobita moja tyż robiła pranie, wywiesiła na dworze, ale powietrze było ch...we, to zanieśla je na strych, a

gdy taki jedyn zaczn rozkazywać, że strych nie jest od prania i poszedł na skargę do sekretorza, dziadek odpowiedział: – Co mi sekretorz bydzie pier...ii i pranie zastola.

Na ciasnym pięterku prowadziłem zajęcia plastyczne z dziećmi. Dziadek lubił przypytywać się malującym dzieciakom. Chodził między sztalugami, udzielał rad, ex cathedra oceniał prace. Był przy tym ciepły i nad wyraz zdecydny wobec małych malarzy. Sam miał kilkoro dzieci. Jego najmłodsza córka, Mirka wykazywała bardzo duże zdolności plastyczne, potem wnuczkowie, którzy uczestniczyli w zajęciach.

Kiedy w domu przy 3 Maja zaplanowała Szkoła Muzyczna, dziadek przeniesiono do mieszkania w sąsiednim budynku. Odszedł na emeryturę, zmarł 20 sierpnia 1978 roku. Nikt z pracowników kultury nie był na Jego pogrzebie.

Jan Sznajder

PS Janku, z pełną świadomością, mimo Twoich nalegań i wręcz pogroźek, poprosiłem panią Lę, aby niektóre słowa „wykropkowała”. Wszystkie te epitety spadną pewno na moją głowę – przyjmij je z pokorą. St.S.

Słownictwo i zwyczaje starokoninian

Podróżując po kraju, często spotykaliśmy się z wyrażeniami lub poszczególnymi słowami „rozumiałymi” tylko dla lokalnej społeczności. Dla odwiedzających dany region stanowiły pewien problem językowy. Również w Koninie na co dzień posługiwano się językiem mało zrozumiałym dla przyjezdnych.

Proponuję na chwilę powrót do lat sześćdziesiątych. Na jednym z podwórek mogła(?) zdarzyć się taka rozmowa: – Kochana, wczoraj pieklam placek z rabarbarem, a obraz na przepustkę z wojska przyjeżdża Wojtek. Gdy byliśmy u niego na przysiędze, to się przestraszyłam, syn „wyglądał, jak Klejnego koń”. – Co Pani

nie powie? – Wypiek się udał? – Gdzie tam, miał zakalec na dwa palce. Proszę swojego męża o pomoc w naprawie pieca, ale mówić do niego to jakby „gadaj do lampy, a lampa swoje”.

Wyjaśnienie rozmowy brzmi bardzo prozaicznie. Koń właściciela był bardzo mizernej postury. Stąd określenie człowieka chudego, zabiedzonego. W przypadku porównania „Gadaj do...” – mamy do czynienia ze zmianą przez koninian znanego w Polsce powiedzenia „Mówił dziad do obrazu, a obraz ani razu”.

Na co dzień rodzice zwracali się do swoich pociech: Idź po wodę na „garn-

carski rynek” lub kupisz „to” na „garncarskim przedmieściu”, dzieci wiedziały, żeby wykonać polecenie należało udać się w dwa bardzo odległe od siebie miejsca. Pierwsze polecenie można było zrealizować na placu Zamkowym, natomiast drugie w okolicach skrzyżowania dzisiejszych ulic Kolskiej, 3 Maja i Dąbrowskiej. Koninianie często skracali sobie wyraz „garncarski” wymawiając „garcarski”. W niektóre niedzielne popołudnia chodziliśmy na spacer: „za most” lub na „słupeckie przedmieście”, w tym wypadku obydwa określenia dotyczyły ulicy Wojska Polskiego.

Opiekujący się chorym stawiali dia-

gnozę: – „Potrzeba mi kawy z bułką”. Kawa i Bułka są to nazwiska lekarzy praktykujących w Koninie przed wojną. Przy bardzo poważnych dolegliwościach chorobowych kwitowano stan chorego stwierdzeniem: – „Tu pomoże tylko Pajals”. I w tym wypadku mamy do czynienia z nazwiskiem lekarza. Bardzo szanowanego obywatela miasta.

Na targu pytano o cenę: Pani! – „wielka” to kosztuje? lub Pani! – „po wielka” te jajka? Po „dobiciu” targu sprzedający pakował towar w „tytkę” – pod tą tajemniczą nazwą kryła się papierowa torba. „Tytki” miały pojemność 0,5, 1 lub 2 kilograma. Przy zakupie kilku produktów ze strony

kupującego padało pytanie: „Wielka to uczyni?” Thumacząc z polskiego na „nasze” – Ile mam zapłacić? Zmęczone zakupami gospodynie po powrocie do domu siadały nie na taborecie, lecz na „ryczce”.

W rozmowach dnia powszedniego „wszechwładną” rolę pełnił przymiotnik „galanty”. Gospodynie chwaliły się: – Kupiłam kawałek mięsa i wyszedł całkiem „galanty” obiad lub „złociutka”, taka jestem „styrana”, bo wczoraj zrobiłam „galante” pranie. Usłyszeć również można było żal, czy też zdziwienie: – Pani! Zebry Pani widziała, jakiego „galantego” chłopca za pomocą dostąpiła (i tu padało imię). Również z pomocą wspomnianego przymiotnika chwalono pracę np. malarza: – Skończył malowanie. Nawet „galancie” wyszło.

dokończenie w październiku

TAKI SOBIE FELIETONIK

Pożegnanie domu

Zadzwonił przyjaciel, co nie było niczym dziwnym, ale już następne Jego słowa wprowadziły mnie w silne podtekstowanie – powiedział bowiem: „iść i pożegnać się z naszym domem”.

Poszedłem. Dom stoi (przynajmniej stał jeszcze i patrzył smutnymi oczodolami okien, kiedy pisałem te słowa) przy skrzyżowaniu ulic Gwoździarskiej i Grunwaldzkiej. Przy tak zwanym kiedyś błoniu – dziś pięknym parkingu. Mieszkał tam przez całą okupację (przesiedleni przymusowo i pozbawieni całego dobytku) oraz pierwsze lata powojenne. Tam właśnie, mimo wszystko, upłynęły nasze naj-

szczęśliwsze lata dzieciństwa i czas wczesnoszkolny.

Tam zaczęliśmy poznawać świat – mimo że rodzice bardzo często przerywali rozmowę w połowie słowa, gdy wchodziliśmy do domu. Nie wiedzieliśmy dlaczego, tak jak nie rozumieliśmy, co to właściwie ta okupacja.

Wtedy najważniejsze było nasze błonie. Latem zielone i nadające się do gry w „szmactankę”. Zimą zalane wodą i zamrożone do jazdy na łyżwach, przywiązanych do butów mocnym sznurkiem lub rzemykiem. Rzemyki udawało się czasem wyprosić u mistrza nad mistrzami pana Paruchały. Obu- wie robił nam z opon rowerowych,

drewna i właściwie wszystkiego, co było pod ręką.

A więc szmactanka, palant, strąk (klipa) i oczywiście nieśmiertelna – budząca powszechną zazdrość – fajerka! Wtajemniczeni wiedzą o co chodzi, zaś niewtajemniczeni i tak nie niezrozumieją.

Od czasu do czasu Niemcy zapędzali całe rodziny do wyskubywania trawy spomiędzy ulicznych kamieni. Dla nas dzieci była to jednak bardziej zabawa niż praca. Za nas, aby nie narazić się okupantowi, robili to rodzice.

Tutaj zastało nas wyzwolenie. Niezapomniane wrażenie, gdy na naszym błoniu wylądowała eskadra „kukuruzników” czyli dwupłatowych samolotów. Długo potem, kiedy już sam latałem na podobnych, dowiedziałem się, że Rosjanie nazywali je „nocnymi bombowcami” (potrafiły szybować nad cel z wylączonymi silnikami), ale to już zupełnie inna historia.

Tutaj w pierwszych powojennych dniach namiętnie rozbrajaliśmy różne pociski, aby wysypywać z nich proch i robić „węzki” do strzelania. Po każdym eksperymencie i głośnym huk



matki solidnie wypełniały rodzicielskie powinności pasem lub tym, co było akurat pod ręką. Upomnienie działało dzień, góra dwa dni. Potem strzelano się, ale zdecydowanie dalej od domu.

Choć podziurawiony kulami – Niemcy strzelali gęsto, uciekając przez błonie do mostu – dom dożył jednak sędziwego wieku. Jest jednym z nielicznych domów z tego rocznika w Koninie, który

jeszcze nie został rozebrany.

Na pewno żał, ale niestety taka jest już kolej rzeczy. Dodam dla porządku, że właścicielami domu byli państwo Świniarscy. Ich syn, Wacław był niezrównanym łyżwiarzem. Jego jazda figurą była naprawdę piękna.

A więc żegnaj domku – być może, twoją smutną ostatnio egzystencję odrobnie przedłużę ten felietonik.

Stanisław Sroczyński

Z życia Towarzystwa Przyjaciół Konina

Członkowie zarządu uczestniczyli w miejskich obchodach 60. rocznicy wybuchu wojny przy pomniku pomordowanych obywateli Konina i okolic przez hitlerowców. Wśród weteranów i kombatantów byli członkowie Towarzystwa Danuta Kozłowska, Jan Sznajder, Kazimierz Miller i inni.

Członek zarządu Lech Hejman zaprezentował zbiory regionalne Miejskiej Biblioteki Publicznej na konferencji metodycznej nauczycieli historii uczących w gimnazjach. Pedagodzy są zainteresowani czynnym włączeniem się do pracy w naszym Towarzystwie.

Współorganizowany przez Towarzystwo konkurs poetycki o nagrodę „Miłowego Słupa” zbliża się do finału. Wiersze przyjmowane będą w Bibliotece Publicznej przy ulicy Mickiewicza do 20 września.

„Gdzie dziewczęta z tamtych lat...”



lek. med. ordynator Danuta Kozłowska



Janina Weneda

JESIEŃ

wrześniowy świt zamazują poranne mgły
i nikną
łagodne słońce tuli spracowane pola
do lona
czerwienią się liście barwami złotej jesieni
i spadają
w taki dzień Newton zobaczył zlatujące
jabłko
z drzewa
i przyszpilił nas do ziemi, byśmy nie umknęli
w kosmos

bo po co grawitować w bezładnej przestrzeni
gdzie zimno
lepiej stapać po trawie w aurze „babiego lata”
na badyłach
w pożegnalnym gwarze ptaków lecących daleko
na wyraj
w ciepłych zmierniach nagich zórz kąpiących się
w morzu
w nocach bogini Wenus prószącej słodkie sny
na oczy
w jesienny złoty czas